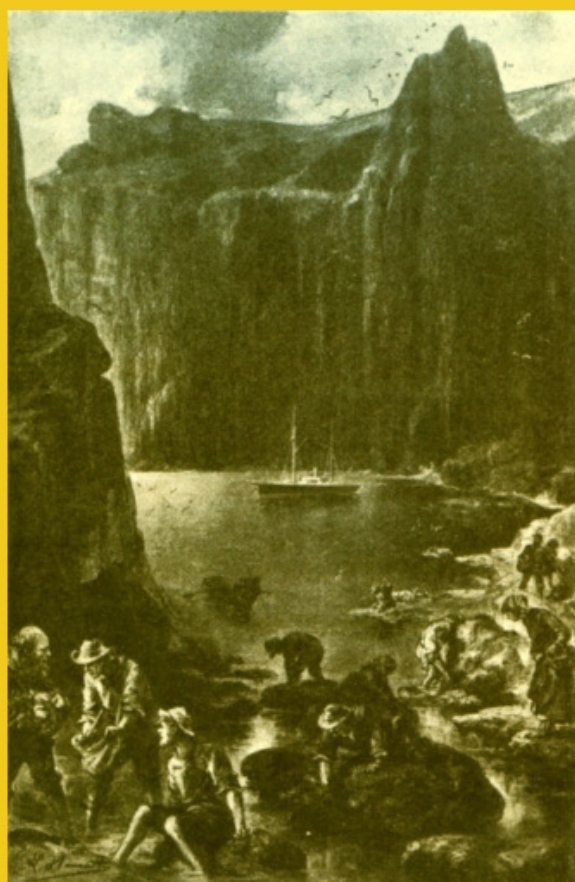
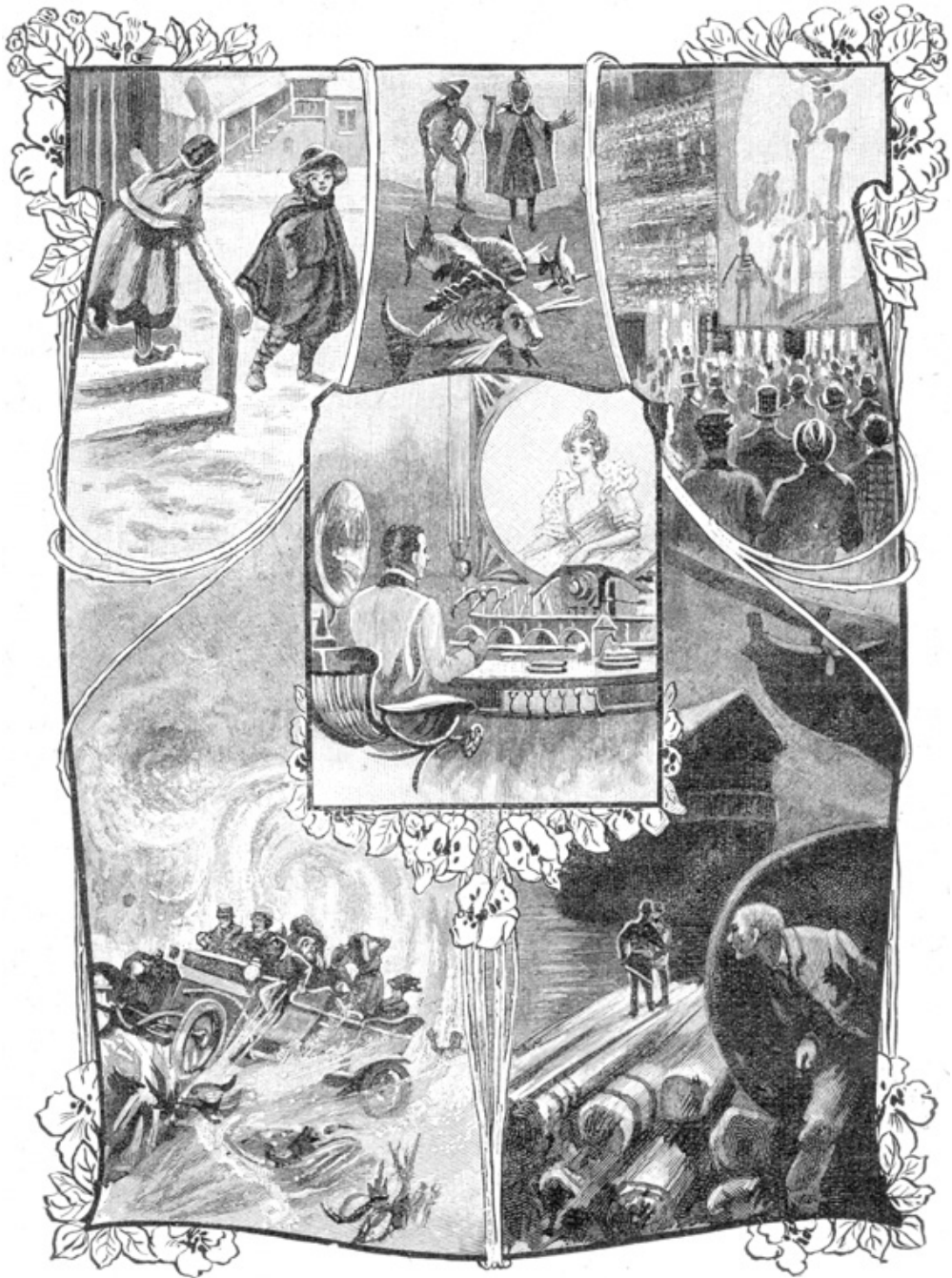




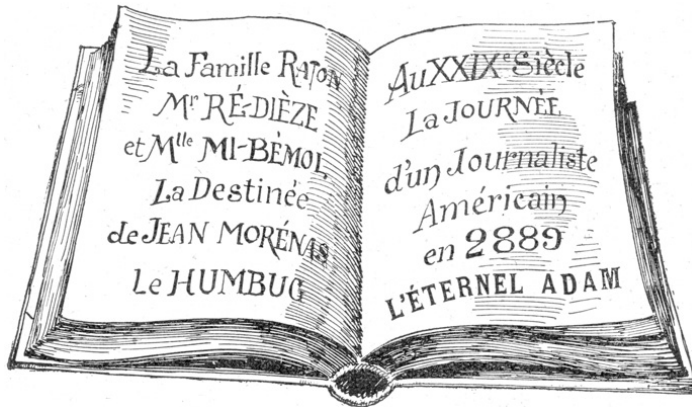
Juliusz Verne Wieczny Adam



ISBN 978-83-64701-24-5



Juliusz Verne



WIECZNY ADAM

i inne opowiadania

Trzynasta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuły oryginałów francuskich: *L'Éternel Adam*, *La Destinée de Jean Morénas*, *Le Humbug*, *Moeurs américaines*, *Au XXIXe siècle*, *La journée d'un journaliste américain en 2889*, *M. Ré-Dièze et Mlle Mi-Bémol*, *La famille Raton*

© Copyright for the Polish translation by Polskie Towarzystwo Juliusza Verne'a

57 ilustracji, w tym 19 kolorowych
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Przypisy: Barbara Supernat, Krzysztof Czubaszek
i Andrzej Zydorczak

Skład: Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne'a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2014

ISBN 978-83-64701-24-5

Wstęp

Zgodnie z podjętym wcześniej zobowiązaniem, ukazuje się następny, drugi tom „Biblioteki Andrzeja”, w którym zostały zebrane kolejne opowiadania Juliusza Verne’a. Użyte tu sformułowanie „opowiadania Juliusza Verne’a” jest nieco mylące, gdyż wszystkie utwory zostały przed oddaniem do druku w większym lub mniejszym stopniu przerobione przez syna pisarza, Michela. W poszczególnych utworach zmiany te zostały wprowadzone w różnym stopniu. Niekiedy są one niewielkie i dotyczą użycia innych wyrazów czy innego szyku zdań, mało zauważalnych dla polskiego czytelnika, ale dość istotnych dla odbiorców czytających w języku oryginalnym. W innych przypadkach, np. w opowiadaniu *Przeznaczenie Jeana Morénasa*, są głębokie, całkowicie zmieniające wymowę utworu. Polscy czytelnicy będą mogli się o tym przekonać, gdy w którychś z kolejnych tomów „Biblioteki Andrzeja” ukażą się oryginalne wersje Juliusza Verne’a, zachowane w rodzinnych archiwach.

Wszystkie utwory ukazały się we Francji w 1910 roku, już po śmierci znakomitego pisarza, w zbiorze zatytułowanym *Hier et Demain. Contes et Nouvelles (Wczoraj i jutro. Bajki i opowiadania)*, należącym do cyklu *Nadzwyczajne Podróże*, ozdobionym ilustracjami różnych francuskich rysowników. Na tym wydaniu zostały oparte polskie tłumaczenia, z których wszystkie zostały wydane we wcześniejszych zeszytach „Biblioteki Andrzeja”.

Uważni i wierni miłośnicy twórczości autora cyklu *Nadzwyczajne Podróże*, którzy nie mieli szczęścia nabyć wcześniejszych tomików, wydawanych w niewielkich nakładach, będą mieli okazję zapoznać się z kolejnym zbiorem jego krótkich form prozatorskich. Moim zamiarem jest wydawanie corocznie następnych zbiorów opowiadań, esejów, a być może wierszy, które zamkną rozdział małych form w twórczości naszego Julka.

W prezentowanym zbiorze znajdziemy różne nurty twórczości Verne’a: obyczajowy, przygodowy, a także fantastyczny. Wszystkie utwory zilustrowano grafikami z XIX wieku, pochodzącymi z wydań książkowych. Informacje dotyczące pierwszych wydań francuskich oraz polskich umieszczone zostały po stronach tytułowych poszczególnych opowiadań.

Mam nadzieję, że utwory zawarte w 39. tomie „Biblioteki Andrzeja” zostaną przyjęte z życzliwością i pozwolą poszerzyć wiedzę o twórczości naszego idola Juliusza Verne’a.

Andrzej Zydorczak

Wieczny Adam

L'Éternel Adam

Przełożyła Barbara Supernat

Po raz pierwszy opowiadanie ukazało się we Francji w formie książkowej w listopadzie i grudniu 1910 roku pod tytułem *Hier et Demain. Contes et Nouvelles (Wczoraj i jutro. Bajki i opowiadania)*. Istnieją trzy różne wydania z tego samego okresu: w małym formacie (18°), w dużym formacie (8°), w pojedynczym tomie oraz w takim samym dużym formacie w czterdziestym szóstym podwójnym tomie *Nadzwyczajnych Podróży*, razem z powieścią *Sekret Wilhelma Storitza*. Tekst uzupełniono siedmioma ilustracjami Léona Benetta.

W Polsce utwór ukazał się po raz pierwszy dopiero w roku 2002, w 11. tomie „Biblioteki Andrzeja”, z ilustracjami Léona Benetta.

W obecnym wydaniu zamieszczono tłumaczenie z „Biblioteki Andrzeja”.

Zartog Sofr Ai Sr, to znaczy „mędrzec, trzeci przedstawiciel męski sto pierwszego pokolenia rodu Sofr” powolnymi krokami przechadzał się główną ulicą Basidry, stolicy Hars Iten Schu, zwanego inaczej „Cesarstwem Czterech Mórz”. W istocie cztery morza: Tubelon – inaczej Północne, Ehon – inaczej Południowe, Spon – czyli Wschodnie, Meron – czyli Zachodnie, oblewały tę olbrzymią krainę o nieregularnej formie, której krańce, licząc miarami znanymi czytelnikowi, sięgały na wschodzie czwartego stopnia długości, a na zachodzie siedemdziesiątego, oraz pięćdziesiątego czwartego stopnia szerokości północnej i pięćdziesiątego piątego południowej. Jeżeli chodzi o wzajemne położenie tych mórz, można je było oszacować w sposób przybliżony, ponieważ wszystkie cztery zlewały się w jedno. Tak oto nawigator, opuszczając którykolwiek z ich brzegów i płynąc wciąż przed siebie, siłą rzeczy dopływał do przeciwległego brzegu. Dlaczego? Dlatego że na całej powierzchni globu istniał tylko jeden łąd, Hars Iten Schu.

Ponieważ było bardzo gorąco, Sofr szedł wolnym krokiem. Zaczynała się upalna pora roku i na Basidre, położoną na brzegu Spon Schu, czyli Morza Wschodniego, poniżej dwudziestego stopnia na północ od równika, spadał straszliwy żar promieni słońca zbliżającego się do zenitu. Lecz bardziej niż zmęczenie i upał opóźniał kroki Sofra, uczonego zartoga, ciężar jego myśli. Z roztargnieniem przecierając czoło dłonią, rozpamiętywał zakończone przed chwilą posiedzenie, na którym wielu wybitnych mówców, do których i on miał zaszczyt być zaliczonym, uświetniło sto dziewięćdziesiątą piątą rocznicę powstania cesarstwa. Kilku z nich przypominało jego historię, będącą zarazem historią całej ludzkości, przedstawiając Mahart Iten Schu, Ziemię Czterech Mórz, która na początku dziejów podzielona była pomiędzy dzikie, nieznanne się między sobą plemiona. To od tych plemion pochodzą najstarsze tradycje. Co do wcześniejszych dziejów, nie były one znane i nauki przyrodnicze dopiero zaczynały dostrzegać nikłe światelko w nieprzeniknionych ciemnościach przeszłości. W każdym razie te zamierzchłe czasy umykały ocenie historii, której najgłębszy zasięg stanowiły niewyraźne i niepewne odniesienia do porozrzucanych starożytnych osad.

W czasie ponad ośmiu tysięcy lat historia Mahart Iten Schu, coraz bardziej złożona i dokładniej poznawalna, relacjonowała walki i wojny toczone najpierw między poszczególnymi osobnikami, później między rodzinami, a w końcu między plemionami. Każda istota żywa, każda zbiorowość, mała czy duża, miała za jedyny cel na przestrzeni wieków zapewnienie sobie władzy nad rywalami, starając się różnymi sposobami, często niegodnymi, podporządkować ich swoim prawom.

Z drugiej strony granicy ośmiu tysięcy lat ludzkie wspomnienia nieco się precyzowały. Na początku drugiego z czterech okresów, na jakie powszechnie dzieli się annały¹ Mahart Iten Schu, legenda zaczynała zasługiwać na nazwę historii. Zresztą, historia czy legenda, ich treść nie zmieniała się wiele: były to zawsze masakry i zabójstwa, nie tylko – i jest to prawda – między plemionami, ale też między narodami, do tego stopnia, że ten drugi okres niczym się nie różnił od pierwszego.

Podobnie było z trzecim okresem, trwającym blisko sześćset lat, a zakończonym zaledwie dwieście lat temu. Być może jeszcze straszliwsza była ta trzecia epoka, w czasie której podzieleni na nieprzeliczone armie ludzie z nienasyconej wściekłości zalewali ziemię swoją krwią.

1 *Annały* – kroniki, roczniki.

Około ośmiu wieków wcześniej przed dniem, w którym zartog Sofr przemierzał główną ulicę Basidry, ludzkość dojrzała do niezwykłych zmian. W tym momencie broń, ogień, gwałty dokonały już swojego dzieła. Słabi ustąpili mocnym. Ludzie zamieszkujący Mahart Iten Schu tworzyli trzy niezależne narody; w każdym z nich czas zatarł różnicę między dawnymi zwycięzcami a zwyciężonymi. Wtedy to jeden z tych narodów postanowił podbić swoich sąsiadów. Mieszkający blisko centrum Mahart Iten Schu Andarti Ha Sammgoryjczycy, inaczej zwani Ludźmi o Brązowych Twarzach, walczyli bez pardonu o poszerzenie swoich granic, w których dusili się, będąc rasą gorącą i płodną. W wyniku długich wojen zwyciężyli kolejno Andarti Mahat Horisów, Ludzi z Kraju Śniegu, zamieszkujących południowe krainy, i Andarti Mitra Psulów, Ludzi Nieruchomej Gwiazdy, których imperium rozciągało się ku północy i zachodowi.

Niemal dwieście lat upłynęło od czasu, kiedy kolejna rewolta tych ostatnich dwóch narodów utopiona została w morzu krwi, a na ziemi zapanowała wreszcie era pokoju.

Był to czwarty okres w historii. Jedno cesarstwo zastąpiło trzy dawne państwa. Jednolita polityka dążyła do integracji ras, zgodnie z prawami Basidry. Nikt nie mówił już o Ludziach o Brązowych Twarzach, o Ludziach z Kraju Śniegu czy też Ludziach Nieruchomej Gwiazdy. Ziemię zamieszkiwał jeden naród, Andarti Item Schumowie, Ludzie Czterech Mórz, będący mieszkanką pozostałych.

Ale oto po dwustu latach pokoju wydawało się, że nadchodzi piąty okres. Od pewnego czasu wśród społeczeństwa krążyły oznaki gniewu, których źródła nie były znane. Pojawili się myśliciele budzący w duszach ludzi wspomnienia o przodkach, które wydawały się już dawno wykorzenione. Dawne poczucie przynależności rasowej odradzało się teraz w innej formie, charakteryzującej się nowymi wyrazami. Powszechnie używano takich słów, jak „atawizm”² „pokrewieństwa”, „narodowości”. Całe to nowe słownictwo, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu, zawładnęło wkrótce miastem. W zależności od pochodzenia, wyglądu fizycznego, poglądów moralnych, interesów czy po prostu klimatu lub regionu, widać było, jak powstające ugrupowania rozrastają się i zaczynają manifestować swoją siłę. Do czego mogła doprowadzić ta ewolucja? Czyżby dopiero co uformowane imperium miało się rozpaść? Czy Mahart Iten Schu zostanie podzielone, jak niegdyś, pomiędzy liczne narody, albo też dla utrzymania jedności trzeba się będzie odwołać do straszliwych hekatomb³, które kiedyś, tysiące lat temu, uczyniły na ziemi jatkę...?

Gwałtownym potrząśnięciem głowy Sofr przepędził te myśli. Przyszłość – ani on, ani nikt inny jej nie znał. Dlaczego więc zasmucać się z góry wydarzeniami, które nie są pewne? Poza tym nie był to odpowiedni dzień do rozmyślenia nad tak straszliwymi przypuszczeniami. Był to dzień radości i należało myśleć jedynie o wielkości prześwietnego Mogar Si, dwunastego cesarza Hars Iten Schu, pod którego berłem prowadzono świat ku przeznaczeniu pełnemu chwały.

Zresztą jako zartog nie mógł się uskarżać na brak powodów do radości. Poza historykiem, który przedstawił dzieje Mahart Iten Schu, cała plejada uczonych z okazji tak doniosłej rocznicy ustaliła, każdy w swojej specjalności, bilans ludzkiej wiedzy i określiła punkt, do którego wielowiekowym wysiłkiem doprowadziła ona cywilizację. Otóż, o ile pierwszy w pewnym stopniu sugerował smutne refleksje, wspominając długą i męczeńską drogę, jaką ludzkość pokonała od swoich krwawych początków, to następnii dali słuchaczom powody do zasłużonej dumy.

Tak, to prawda, porównanie między tym, jaki był człowiek w chwili pojawienia się na ziemi, bezbronny i goły, a tym, jaki jest teraz, skłaniało do podziwu. Przez całe wieki, mimo konfliktów i bratobójczych sporów, ani na chwilę człowiek nie zaniechał walki z naturą, powiększając obszar swojego panowania. Początkowo powolny, dwieście lat temu jego triumfalny pochód nabrał niezwykłego przyspieszenia. Stabilność instytucji politycznych i wynikający z tego ogólny pokój spowodowały wspaniałe rozkwit nauki. Ludzkość przeżyła dzięki mózgowi, a nie wyłącznie kończynom. Myślała, zamiast się wyniszczać w niekończących się wojnach, i dlatego w czasie tych dwóch ostatnich wieków coraz szybszym krokiem posuwała się naprzód ku wiedzy i ujarzmieniu materii...

Przemierzając w palącym słońcu długą ulicę Basidry, Sofr szkicował w myślach tablicę osiągnięć człowieka.

Najpierw, co zanikało nieco w pomroce dziejów, ktoś wymyślił pismo, aby można było utrwalać myśli. Następny wynalazek narodził się pięćset lat później – ktoś inny, dzięki raz złożonej matrycy, znalazł sposób na rozpowszechnianie słowa pisanego w niezliczonej ilości egzemplarzy. Ten właśnie wynalazek przyspieszył

2 Atawizm – występowanie u człowieka cech jego dalekich przodków.

3 Hekatomba – krwawa ofiara.

wszystkie inne.

To dzięki niemu mózgi wprawione zostały w ruch, a inteligencja każdego z nich wzrastała poprzez inteligencję sąsiada; dzięki niemu odkrycia w sensie teoretycznym i praktycznym tak wspaniale się pomnożyły. Od pewnego momentu przestano je nawet liczyć.

Człowiek wniknął do wnętrza Ziemi i dobywał z niego węgiel, hojnego dawcę ciepła. Wyzwolił ukrytą siłę wody i para ciągnęła żelazne wstęgi ciężkich konwojów lub poruszała niezliczone maszyny: mocarne, delikatne i precyzyjne. Dzięki tym maszynom człowiek tkał włókna roślinne i mógł pracować zgodnie z własnymi życzeniami w metalu, marmurze oraz skale. W mniej konkretnej dziedzinie, lub dziedzinie o mniej bezpośrednim zastosowaniu, stopniowo penetrował tajemnicę liczb i coraz lepiej zgłębiał prawdy matematyczne, zbliżając się ku nieskończoności. Poprzez te prawdy jego myśl przebyła niebo. Wiedział, że Słońce jest tylko gwiazdą, która według rygorystycznych praw płynie w przestrzeni, ciągnąc w swym płomiennym biegu orszak siedmiu planet⁴. Znał sztukę takiego łączenia niektórych ciał, by powstawały nowe, niemające nic wspólnego z pierwszymi, czy też dzielenia innych, złożonych, na ich elementy składowe i pierwotne. Poddawał analizie dźwięk, ciepło, światło i zaczynał określać ich naturę i rządzące nimi prawa. Pięćdziesiąt lat wcześniej nauczył się wytwarzać siłę, której straszliwymi przejawami są piorun i błyskawice, i natychmiast uczynił z niej swą niewolnicę; już teraz ten tajemniczy nośnik przekazywał zapis na nieograniczoną odległość; jutro przekaże dźwięk; pojutrze, bez wątpienia, światło...⁵. Tak, człowiek był wielki, większy niż olbrzymi wszechświat, któremu pewnego dnia będzie przewodził.

Aby więc mieć pełny obraz i do końca poznać prawdę, pozostał oto ostatni problem do rozwiązania: „Kim był człowiek, pan świata? Skąd pochodził? Do jakich nieznanых kresów podążał jego wysiłek?”

4 Andartowie Iten Schu nie znali więc Neptuna [przyp. J. Verne'a]; nie znali też Plutona, którego ostatnio nie zaliczamy do planet (przyp. A. Zydorczak).

5 Widzimy, że znając telegraf, Andartowie Iten Schu nie znali jeszcze telefonu ani światła elektrycznego w dniu, kiedy zartog Sofr Air Sr oddawał się rozmyślaniom [przyp. J. Verne'a].



Właśnie ten szeroki problem omawiał zartog Sofr w trakcie ceremonii, z której teraz wyszedł. Oczywiście on go jedynie zasygnalizował, ponieważ rzecz była aktualnie nie do rozwiązania i taką, bez wątpienia, pozostanie jeszcze długo. Kilka niejasnych światełek zaczynało jednak rozświetlać tajemnicę. Z tychże to przeblysków zartog Sofr montował mocniejsze światła, kiedy systematyzując i cierpliwie zbierając obserwacje swych poprzedników i swoje osobiste spostrzeżenia, doszedł do własnego prawa ewolucji żywej materii, prawa przyjętego obecnie za powszechne i niemającego żadnego przeciwnika.

Teoria ta opierała się na potrójnym założeniu.

Przede wszystkim na nauce geologii, która narodzona z dniem, w którym zaczęto przeszukiwanie wną-

trza Ziemi, udoskonalila się wraz z rozwojem eksploatacji górniczej. Skorupa globu była tak doskonale znana, że ośmielono się ustalić jej wiek na czterysta tysięcy lat i na dwadzieścia tysięcy lat wiek Mahart Iten Schu w formie, jaką posiada aktualnie. Niegdyś kontynent ten był uśpiony pod wodami morza, o czym świadczyła gruba warstwa mułów morskich, które pokrywały bez żadnych przerw położone niżej warstwy skalne. Jaki mechanizm spowodował pewnego dnia, że wynurzył się z fal? Bez wątplenia poprzez kurczenie się stygnącego globu. Cokolwiek to było, wynurzenie się Mahart Iten Schu musiało być uznane za pewne.

Nauki przyrodnicze dały Sofrowi dwie inne podstawy jego systemu, wykazując ściśle pokrewieństwo planet i zwierząt. Sofr poszedł dalej: dowiódł, że prawie wszystkie istniejące rośliny wywodziły się od roślin morskich oraz że prawie wszystkie zwierzęta lądowe i latające pochodziły od zwierząt morskich. Powolna, lecz nieprzerwana ewolucja przystosowywała je powoli do warunków życia, najpierw pobocznych, potem znacznie oddalonych od tych, jakie miały w swym prymitywnym życiu, i ze stadium do stadium dały początek większości żyjących form zamieszkujących ziemię i powietrze.

Niestety, ta genialna teoria nie była doskonała. To, że istoty żywe, zwierzęce i roślinne, pochodziły od przodków morskich, wydawało się prawie niezaprzeczalne dla niemal wszystkich, ale właśnie: „niemal wszystkich”. Rzeczywiście, istniało kilka roślin i zwierząt, którym trudno byłoby przyznać wodne pochodzenie. To był jeden z dwóch słabych punktów tego systemu.

Człowiek, czego Sofr przed sobą nie ukrywał, był drugim słabym punktem. Między człowiekiem i zwierzętami żadne porównanie nie było możliwe. Owszem, pierwotne funkcje i właściwości, takie jak: oddychanie, odżywianie, poruszanie się, były takie same i dokonywały się lub objawiały sensorycznie⁶ w ten sam sposób, ale nieprzekraczalna przepaść pozostawała między formami zewnętrznymi, liczbą i rozmieszczeniem organów. Jeśli większość zwierząt można byłoby połączyć łańcuchem, w którym brakuje niewielu ogniw, z ich przodkami pochodzącymi z morza, podobne połączenie byłoby nie do przyjęcia w stosunku do człowieka. Aby zachować nienaruszoną teorię ewolucji, konieczne stało się więc stworzenie dodatkowej hipotezy wspólnego protoplasty dla mieszkańców wód i człowieka, protoplasty, którego istnienia w przeszłości nic, ale to absolutnie nic, nie dowodziło.

Kiedyś Sofr miał nadzieję znaleźć w ziemi argumenty potwierdzające jego pogląd. Na jego życzenie i pod jego kierunkiem przez wiele lat prowadzono wykopaliska, ale tylko po to, aby dojść do rezultatów diametralnie różnych od tych, jakich oczekiwali.

Po przejściu cienkiej powłoki humusu⁷ powstałego na skutek rozkładu roślin i zwierząt, podobnych lub analogicznych do tych, jakie widziało się na co dzień, dotarto do grubej warstwy namułu, gdzie świadectwa przeszłości zmieniły swą naturę. W tym namule nie było już flory ani fauny istniejącej, ale wielkie nagromadzenie skamieniałości wyłącznie morskich, których potomkowie żyli jeszcze, najczęściej w oceanach otaczających Mahart Iten Schu.

Co należało wywnioskować, jeżeli nie to, że geolodzy mieli rację, twierdząc, że kontynent był niegdyś dnem oceanów i że Sofr się nie mylił, twierdząc, że fauna i flora dzisiejsza pochodzą z morza. Ponieważ, poza wyjątkami tak rzadkimi, że miano prawo uznać je za wybryki natury, formy wodne i ziemne były jedynymi, których ślady odkrywano, jedno i drugie niewątpliwie były z sobą spokrewnione... Niestety, nie udało się uogólnić systemu, ponieważ odkryto jeszcze inne znaleziska. Rozrzucone w całej warstwie humusu, aż do partii wierzchniej złóż namułowych, zostały wyciągnięte na światło dzienne niezliczone kości ludzkie. Nie było nic szczególnego w ich budowie, toteż Sofr musiał odrzucić teorię organizmów wcześniejszych, których istnienie potwierdziłoby jego teorię. Kości te były szkieletami ludzkimi, ni mniej, ni więcej.

Jednakowoż pewna osobliwość, dość znacząca, została stwierdzona już wkrótce. Aż do pewnego okresu, który wstępnie oceniany był na dwa lub trzy tysiące lat, im starszy był szkielet, tym mniejsza była wielkość czaszki. Natomiast przeciwnie, poniżej tego stadium progresja się odwróciła – im bardziej zagłębiano się wstecz, tym większa stawała się wielkość czaszek, a więc i pojemność mózgów, które zawierały. Największe stwierdzono pośród szczątków, skądinąd bardzo rzadkich, znalezionych na powierzchni warstwy namułowej. Szczegółowa analiza tych szacownych resztek nie pozwoliła wątpić, że ludzie, żyjący w owej odległej epoce, osiągnęli rozwój mózgu o wiele wyższy niż ich potomkowie, biorąc też pod uwagę współczesnych Sofrowi. W czasie stu sześćdziesięciu lub stu siedemdziesięciu wieków miała więc miejsce znaczna regresja, po której nastąpił nowy rozwój.

Sofr, wstrząśnięty tymi dziwnymi faktami, kontynuował swe poszukiwania. Warstwa namułu została

6 *Sensorycznie* – doznawany za pomocą zmysłów; czuciowy, wrażliwy.

7 *Humus* – składowa część gleby; próchnica.

przebita w wielu miejscach na takiej grubości, że według najostrożniejszych opinii złoża miały więcej niż piętnaście lub dwadzieścia tysięcy lat. Poniżej niespodzianką było odkrycie nikłych resztek starego humusu. Potem, jeszcze głębiej, w zależności od miejsca poszukiwań, występowała skała o zróżnicowanym składzie. Ale Sofra najbardziej zadziwiły znalezione w tych tajemniczych głębinach szczątki ludzkie. Były to należące do ludzi cząstki kości, oraz fragmenty broni lub maszyn, kawałki garnków, tabliczki z napisami w nieznanym języku, precyzyjnie obrobione krzemienie, czasem wyrzeźbione w formie niemal nienaruszonych figurek, delikatnie zdobione kołpaki itd... itd... Z całości tych znalezisk logicznie wywnioskowano, że około czterdziestu tysięcy lat wcześniej, to znaczy dwadzieścia tysięcy lat przed momentem, gdy pojawili się nie wiadomo skąd ani jak pierwsi reprezentanci współczesnej rasy, w tych samych miejscach żyli już ludzie i doszli do mocno zaawansowanej cywilizacji.

Taki w efekcie był ogólnie przyjęty wniosek. Miał on jednak co najmniej jednego przeciwnika.

Tym przeciwnikiem był nie kto inny jak sam Sofr. Założenie, że inni ludzie, oddzieleni od swych sukcesorów przepaścią dwudziestu tysięcy lat, mogli jako pierwsi zaludnić Ziemię, byłoby według niego czystym szaleństwem. Skąd przybyliby w tym przypadku ci potomkowie przodków od dawna nieistniejących i z którymi nie mają żadnego powiązania? Lepiej raczej poczekać niż przyjąć hipotezę tak absurdalną. Z tego, że niektóre fakty nie zostały wyjaśnione, nie należało wnioskować, że są niewyjaśnialne. Kiedyś zostaną zinterpretowane. Do tego czasu lepiej się nad nimi nie zastanawiać i pozostawać przy zasadach, które zadowolają zdrowy rozsądek. Życie planety dzieli się na dwie fazy: przed człowiekiem i człowieczą. W pierwszej ziemia pozostająca w stanie stałych zmian nie była zamieszkiwana i nie nadawała się do zamieszkania. W drugiej fazie skorupa ziemską osiągnęła stopień spoiwości dający stabilność. Wkrótce też na solidnym podłożu pojawiło się życie; zaczęło się najprostszymi formami i przechodząc w coraz bardziej skomplikowane, osiągnęło ostatnią i najdoskonalszą postać – człowieka. Od chwili swojego zaistnienia na ziemi człowiek rozpoczął i bezustannie kontynuuje swój rozwój. Powolnym, lecz zdecydowanym krokiem zdąża ku szczytowi, jakim jest doskonała wiedza i absolutna dominacja nad wszechświatem...

Zawładnięty gorączką swoich myśli, Sofr minął swój dom. Gderając, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

„Jakże to! – mówił do siebie. – Gdyby założyć, że człowiek czterdzięci tysięcy lat temu osiągnął cywilizację porównywalną, jeśli nie wyższą od tej, którą cieszymy się dzisiaj, a jego umiejętności i osiągnięcia zniknęły, nie pozostawiając najmniejszego śladu, może to zniechęcić jego potomków do rozpoczynania dzieła od podstaw, wzorem pionierów niezamieszkanego wcześniej świata... Ale to oznaczałoby negowanie przyszłości. Zakładać, że nasz wysiłek jest daremny, a cały postęp równie nietrwały jak bańka piany na powierzchni wód?!”

Sofr zatrzymał się przed swoim domem.

„Upsa ni...! hartchok...!” [Nie, nie...! tak naprawdę...!]. „Andart mir’hoie spha...!” [Człowiek jest panem sytuacji...!] – wymruczał, popychając drzwi.

Po krótkim odpoczynku zartog zjadł z apetytem obiad i ułożył się do codziennej sjesty. Ale pytania, które rozważał w drodze do domu, nie dawały mu spokoju i odbierały sen.

Bez względu na przemożną chęć ustalenia spójności zasad w przyrodzie posiadał on zbyt dużo zmysłu krytycznego, aby nie zauważyć słabości swojego systemu, gdy chodziło o problem pochodzenia i kształtowania się człowieka. Dostosować fakty do wstępnej hipotezy to doskonały sposób na zdobycie racji przeciwko innym, ale nie przeciwko sobie.

Gdyby Sofr nie był uczonym, świetnym zartogiem, lecz należał do klasy analfabetów, nie miałby takich problemów. Istotnie, lud, nie tracąc czasu na zbyt głębokie spekulacje, zadowalał się, przymykając oczy, starą legendą, która od niepamiętnych czasów przekazywana była z ojca na syna. Wyjaśniając jedną tajemnicę inną, tłumaczyła ona pochodzenie człowieka działaniem siły wyższej. Pewnego dnia ta pozaziemska siła stworzyła z niczego Hedoma i Hiwę, pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę, których potomkowie zaludnili Ziemię. W ten sposób wszystko układało się bardzo prosto.

„Zbyt prosto! – pomyślał Sofr. – Kiedy traci się nadzieję na zrozumienie czegoś, najłatwiej odwołać się do boskiej działalności; w ten sposób nie trzeba szukać rozwiązań zagadek wszechświata; problemy przestają być problemami w chwili ich zaistnienia.

Gdyby chociaż ta ludowa legenda powstała na solidnej, poważnej podbudowie...! Ale ona nie jest niczym poparta. Jest to tylko tradycja, zrodzona w wiekach ciemnoty i przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ale to imię: «Hedom!». Skąd pochodzi to dziwaczne słowo o obcym brzmieniu, które wydaje się nie mieć nic wspólnego z językiem Andarti Iten Schu? Jeden maleńki problem filozoficzny, w obliczu którego błędą całe zastępy uczonych, nie znajdując zadowalającej odpowiedzi... Zostawmy to! Wszystko to bzdura niegodna uwagi zartoga”.

Rozdrażniony Sofr zszedł do ogrodu, ponieważ była to pora, w której zazwyczaj to czynił. Zachodzące słońce lało na ziemię mniejszy żar i łagodny wiatr zaczynał wiać znad Spon Schu. Zartog błądził alejkami w cieniu drzew, których drżące liście szeptały na wietrze. Powoli jego nerwy wracały do zwykłej równowagi. Mógł się pozbyć swoich absorbujących myśli, cieszyć się spokojnie świeżym powietrzem, interesować owocami, bogactwem ogrodu i jego ozdobą, kwiatami.

Przypadkowy spacer przywiódł go z powrotem w pobliże domu i Sofr zatrzymał się nad brzegiem wykopu, w którym tkwiły liczne narzędzia. Wynurzały się z niego dopiero co powstałe fundamenty nowej konstrukcji, która miała podwoić powierzchnię jego laboratorium. Ale w ten świąteczny dzień robotnicy porzucili pracę i oddali się zabawie.

Sofr oceniał na oko wykonaną pracę oraz tę, która pozostała do wykonania, kiedy w półmroku wykopu jego uwagę przyciągnął błyszczący punkt. Zaintrygowany zszedł na dno jamy i usunął z dziwnego przedmiotu ziemię, która pokrywała go w trzech czwartych.

Zartog, powróciwszy do dziennego światła, zaczął oglądać znalezisko. Był to rodzaj etui wykonanego z nieznanego szarego metalu o ziarnistej teksturze⁸, który długi pobyt w ziemi pozbawił połysku. W jednej trzeciej długości widniała rysa, wskazująca, że etui składało się z dwóch zamykających się z sobą części. Sofr spróbował je otworzyć.

Przy pierwszym ruchu metal, zetlały na skutek działalności czasu, zamienił się w proch, odkrywając drugi, ukryty w nim przedmiot. Materiał, z którego był wykonany, był zartogowi równie nieznamy jak ten, który go do tej pory chronił. Był to zwój kartek pokryty dziwnymi znakami, których regularność wskazywała na rodzaj pisma, którego to, ani nawet jemu podobnego, zartog nigdy nie widział. Drżąc cały z emocji, Sofr zamknął się w swoim laboratorium i po ostrożnym rozłożeniu cennego dokumentu zaczął mu się dokładnie przyglądać.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że było to pismo. Lecz równie pewny był fakt, że nie przypominało ono żadnego z tych, których w czasach historycznych używano na całej Ziemi.

Skąd pochodził ten dokument? Co oznaczał? Te dwa pytania natychmiast narodziły się w umyśle Sofra.

Chcąc odpowiedzieć na pierwsze, należało znaleźć odpowiedź na drugie. Należało więc tekst najpierw odcyfrować, a następnie przetłumaczyć, jako że język dokumentu mógł się okazać w równym stopniu nieznanym, co jego pismo. Czyżby to było niemożliwe? Zartog Sofr nie zastanawiał się nad tym dłużej, tylko gorączkowo przystąpił do pracy.

Robota ciągnęła się długo, bardzo długo, całe długie lata. Sofr pracował bez wytchnienia. Nie zniechęcając się, kontynuował metodyczne badania tajemniczego dokumentu i zdążył powoli do rozwiązania zagadki. Nadszedł w końcu dzień, w którym znalazł klucz do tego skomplikowanego „rebusu”. Następnie nadszedł moment, kiedy z wielkim niedowierzaniem i wysiłkiem mógł przetłumaczyć tenże „rebus” na język Ludzi Czterech Mórz. Tego dnia zartog Sofr Ai Sr mógł przeczytać:

Rosario, 24 maja 2...

W ten oto sposób zaczynam moje zapiski, chociaż w rzeczywistości są one spisywane dużo później i w innym miejscu. Jednakże porządek jest według mnie niezbędny i dlatego przyjąłem formę dziennika pisanego z dnia na dzień.

Dwudziestego czwartego maja rozpoczynam opis niezwykłych wydarzeń, które dzieją się teraz, celem przekazania ich tym, którzy przyjdą po mnie, o ile jeszcze ludzkość ma nadzieję liczyć na jakąkolwiek przyszłość.

W jakimże języku mam pisać? W angielskim czy hiszpańskim, którymi mówię biegle? Nie! Będę pisał językiem mojego kraju – po francusku.

Tego właśnie dnia zebrałem kilku przyjaciół w mojej willi w Rosario. Rosario jest, a raczej było, miastem w Meksyku, na wybrzeżu Pacyfiku, nieco na południe od Zatoki Kalifornijskiej. Mieszkałem tam około dziesięciu lat, kierując eksploatacją w kopalni srebra, która była moją własnością. Sprawy moje szły zadziwiająco dobrze. Byłem człowiekiem bogatym, nawet bardzo bogatym – słowa te bardzo mnie dzisiaj bawią – i zamierzałem wkrótce powrócić do mojej prawdziwej ojczyzny Francji.

Willi moja, jedna z najbardziej luksusowych, stała w centralnym miejscu rozległego parku, schodzącego ku morzu i kończącego się gwałtownie na pionowej skarpie o ponad stumetrowej wysokości. Na tyłach willi teren się wznosił, i dzięki krętym drogom można było osiągnąć grzbiet gór, których wysokość przekraczała tysiąc pięćset metrów. Czasami była to cudowna wyprawa, którą odbywałem samochodem, wspianałym i potężnym Faetonem⁹ o trzydziestu pięciu koniach mechanicznych, jednym z najlepszych samochodów francuskich.

Mieszkając w Rosario z moim synem Jeanem, miłym dwudziestolatkiem, przygarnąłem bliską memu sercu Helenę, sierotę, która po śmierci rodziców została bez środków do życia. Minęło pięć lat. Jean miał dwadzieścia pięć lat, a moja wychowanica dwadzieścia. W głębi serca przeznaczyłem ich sobie.

Służba nasza składała się z lokaja Germaina, rozsądnego szofera Modesta Simonata i dwóch kobiet, Edith i Mary, córek mego ogrodnika George'a Raleigha i jego żony Anny. Tego właśnie dnia, dwudziestego czwartego maja, siedzieliśmy w osiem osób przy stole, w ogrodzie oświetlonym lampami, które były zasilane elektrycznie. Znajdowało się tam więc, oprócz pana domu, jego syna i wychowanicy, pięciu innych gości, z których trzech było rasy anglosaskiej, a dwóch pochodzenia meksykańskiego. Do pierwszych należał doktor Bathurst, a doktor Moreno do drugich. Byli to dwaj uczeni w pełnym tego słowa znaczeniu, co wcale nie świadczyło o zgodności ich przekonań. Poza tym ci niezwykli ludzie byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Dwaj pozostali Anglosasi byli to Williamson, właściciel poważnego przedsiębiorstwa rybnego z Rosario, i Rowling, śmiałek, który założył na obrzeżach miasta plantację wczesnych warzyw, z czego czerpał niesamowite zyski. Co do ostatniego gościa, był nim *señor*¹⁰ Mendoza, przewodniczący sądu w Rosario, człowiek godny szacunku, światły umysł i nieprzekupny sędzia.

9 *Faeton* – tu: marka samochodu.

10 *Señor* (hiszp.) – pan.



Dotarliśmy szczęśliwie do końca posiłku bez żadnych incydentów. Słowa wypowiedziane do tego momentu uleciały z mojej pamięci, w przeciwieństwie do tych, które padły podczas palenia cygar. Nie dlatego, że były one same w sobie szczególnie ważne, ale brutalny komentarz, który miał wkrótce nastąpić, nadał im pewne znaczenie. Z tej przyczyny na zawsze zostały w moim umyśle. Doszliśmy – jakież to już nieważne! – do tematu najwspanialszych osiągnięć człowieka. W pewnym momencie doktor Bathurst powiedział:

– Pewne jest, że gdyby Adam – oczywiście jako Anglosas wymawiał *Edem* – i Ewa – wymawiał *Iva* – wrócili na ziemię, byłiby niezwykle zdziwieni!

To stało się początkiem dyskusji. Zapalony darwinista¹¹ Moreno, zawzięty zwolennik teorii doboru naturalnego, ironicznym tonem zapytał go, czy rzeczywiście wierzy w legendę o ziemskim raju. Bathurst odpowiedział, że przynajmniej wierzy w Boga, oraz że istnienie Adama i Ewy jest potwierdzone przez Biblię, i powstrzymał się od dalszej dyskusji. Moreno odparł, że wierzy w Boga nie mniej od swojego rozmówcy, ale że pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta mogli stanowić jedynie mit, symbol, i że nie ma w tym stwierdzeniu nic bluźnierczego. W konsekwencji, tak zakładając, Biblia chciała w ten sposób wyobrazić tchnienie życia wprowadzone przez twórczą siłę do pierwszej komórki, z której powstały następnie wszystkie inne. Bathurst odrzekł, że wyjaśnienie to jest pozornie słuszne, ale jeśli o niego chodzi, bardziej mu pochlebia stanowić bezpośrednie dzieło boże, niż pośrednio być mniej lub bardziej prymitywnym stopniem rozwoju naczelnych.

Obserwowałem moment, w którym dyskusja nabierała kolorów, gdy nagle się urwała, ponieważ przeciwnicy znaleźli przez przypadek mniej kontrowersyjny temat. W ten oto sposób cała sprawa zakończyła się pomyślnie.

Wracając do pierwszego tematu: Tym razem dwóch dyskutantów pogodziło się co do pochodzenia ludzkości i wysokiej kultury, jaką osiągnęła. Wymieniali z dumą jej owoce. Bathurst słauił chemię, rozwiniętą do tego stopnia, że narodziła się tendencja do jej usunięcia poprzez połączenie z fizyką; te dwie dziedziny stanowiły już jedno, obierając za cel badań immanentną¹² energię. Moreno czynił pochwały medycynie i chirurgii, dzięki którym zgłębiono tajemnicę fenomenu życia i których zdumiewające odkrycia pozwalają spodziewać się w przyszłości nieśmiertelności żywych organizmów. Następnie obaj pogratulowali sobie wysokich osiągnięć w astronomii. Nie rozwijano jednak tego tematu, czekając na gwiazdy i siedem planet układu słonecznego.

Zmęczeni własnym entuzjazmem dwaj apologety¹³ postanowili trochę odpocząć. Pozostali goście skorzystaliz z tego, aby wtrącić słowo, po czym wkroczone w rozległy temat praktycznych wynalazków, które tak bardzo zmodyfikowały warunki życia ludzi. Wychwalano kolej żelazną i parowce służące do transportu artykułów ciężkich; statki powietrzne używane przez podróżnych, którzy oszczędzali czas; tuby pneumatyczne i elektroniczne¹⁴ przemierzające lądy i morza, wykorzystywane przez spieszących się ludzi. Opiewano niezliczone maszyny, jedne bardziej pomysłowe od drugich, z których jedna wykonuje w niektórych fabrykach pracę stu ludzi. Chwalono drukarstwo, fotografię kolorów i światła, dźwięku, ciepła i wszystkich wibracji eteru. Przede wszystkim jednak chwalono elektryczność, czynnik tak podatny, tak posłuszny i tak doskonałe znany w swych właściwościach oraz w swej istocie, że pozwala bez przeszkód uruchomić na odległość każdy mechanizm, kierować łodzią podwodną, nawodną czy powietrzną, a także umożliwia porozumiewanie się na odległość: rozmowę, pisanie, wizję.

Był to prawdziwy dytyramb¹⁵, którego autorem częściowo, przyznając, byłem ja sam. Zgodziliśmy się wszyscy w tym punkcie, że ludzkość osiągnęła poziom intelektualny nieznanymi dotychczas przed naszymi czasami, co upoważnia do wiary w całkowite jej zwycięstwo nad naturą.

– Tymczasem – zabrał głos sędzia Mendoza, korzystając z momentu ciszy, który nastąpił po końcowej konkluzji – pozwolę sobie zauważyć, że ludy, które zniknęły, nie pozostawiając najmniejszego śladu, dotarły już do cywilizacji równej lub analogicznej do naszej.

– Jakież? – zapytali jednocześnie wszyscy zgromadzeni.

– Hm... na przykład Babilończycy...

Spowodowało to wybuch śmiechu. Ośmielił się porównywać Babilończyków do ludzi współczesnych!

– Egipcjanie... – kontynuował don¹⁶ Mendoza spokojnie, a wokół niego rozbrzmiewał coraz głośniejszy

11 *Darwinista* – zwolennik teorii ewolucji Darwina.

12 *Immanentny* – będący wewnątrz czegoś, nie wynikający z działania czynnika zewnętrznego.

13 *Apologeta* – obrońca jakichś zasad, idei.

14 *Tuby pneumatyczne i elektroniczne* – autor opisuje tu metro; słowo „elektroniczne” nie zostało tu użyte w dzisiejszym znaczeniu.

15 *Dytyramb* – entuzjastyczna pieśń pochwalna, natchniony hymn.

16 *Don* – tytuł grzecznościowy używany w Hiszpanii, Portugalii i we Włoszech, niegdyś przynależny szlachcicom.

śmiech.

– ...Jak również Atlantydy, z których nasza własna ignorancja stworzyła legendę – ciągnął przewodniczący sądu. – Zauważcie, że przed Atlantydami mogła istnieć cała nieskończoność innych cywilizacji, które narodziły się, rozkwitły, a następnie zniknęły, o czym my możemy nie mieć najmniejszego pojęcia.

Ponieważ don Mendoza upierał się przy swojej nedorzecznej tezie, postanowiono w końcu, aby go nie drażnić, sprawiać wrażenie, że bierze się ją na poważnie.

– Ależ, mój drogi sędzio – zaczął Moreno, przyjmując ton jakim mówi się do dziecka – nie chce pan chyba utrzymywać, że którykolwiek z tych dawnych ludów może być porównywany do nas? W sferze duchowej, przynajmniej, mogli się oni rozwijać na poziomie równym naszemu, ale w sferze materialnej?!

– Dlaczego nie? – zdziwił się don Mendoza.

– Ponieważ – pospieszył z wytłumaczeniem Bathurst – istotą naszych wynalazków jest ich nieustanne odtwarzanie na całej ziemi: zniknięcie jednego ludu, lub nawet większej liczby ludów, spowodowałoby utratę całej masy dokonanych odkryć. Trzeba by jednoczesnego zniknięcia całej ludzkości, żeby został utracony całkowity dorobek ludzki. Czy to jest, według pana, hipoteza możliwa do przyjęcia?

Podczas gdy tak dyskutowaliśmy, przyczyny i skutki same się nawzajem kształtowały w nieskończoności wszechświata i po niespełna minucie jedynym rezultatem pytania, jakie postawił doktor Bathurst, było usprawiedliwienie sceptycyzmu Mendozy. Lecz my nie mieliśmy co do tego żadnych podejrzeń i rozprawialiśmy spokojnie, jedni oparci na krzesłach, inni wsparci na stole, patrząc na Mendozę, który jak przypuszczaliśmy, został przytłoczony repliką Bathursta.

– Przede wszystkim – odpowiedział spokojnie przewodniczący sądu – wiadomym jest, że na ziemi było nigdyś mniej mieszkańców niż obecnie; z tej przyczyny jeden lud mógł posiadać wyłącznie dla siebie całą wiedzę świata. Następnie – nie widzę nic absurdalnego w tym, co mówię – cała powierzchnia globu mogła być zniszczona w tym samym czasie.

– Cóż za nedorzeczność! – zakrzyknęliśmy wszyscy razem.

I w tym właśnie momencie rozpoczęła się katastrofa.

Jeszcze nie skończyliśmy frazy „Cóż za nedorzeczność!”, gdy nagle podniósł się niesłychany hałas. Ziemia drżała i uciekała nam spod nóg, willa trzęsła się w posadach. Wstrząsani i wywracani, padając ofiarą niewypowiedzianej grozy, wypadliśmy na zewnątrz. Zaledwie przekroczyliśmy próg, gdy cały dom się zawalił, grzebiąc pod gruzami sędziego Mendozę i mego lokaja Germaina, którzy biegli ostatni. Po kilku sekundach ruszyliśmy im z pomocą, gdy nagle zauważyliśmy mego ogrodnika Raleigha, pędzącego razem z żoną w dół ogrodu, gdzie mieszkał.

– Morze...! Morze! – krzyczał z całych sił.

Odróciłem się w stronę oceanu i zamarłem w bezruchu, wprawiony w osłupienie. Nie dlatego, że zdawałem sobie sprawę z tego, co zobaczyłem, ale miałem wyraźne wrażenie, że zwykła perspektywa uległa zmianie. Czyż nie wystarczy jednak, żeby zmrozić serce przerażeniem, to że wygląd natury, tej, którą uważamy w istocie za niezmienną, uległ tak gwałtownej zmianie w ciągu kilku sekund? Wówczas nie zwlekałem jednak z odzyskaniem zimnej krwi. Prawdziwa przewaga człowieka nie polega na dominowaniu i pokonywaniu natury, ale na myśleniu o niej, rozumieniu jej, na próbie odtworzenia niezmiernego wszechświata w mikrokosmosie swojego mózgu. To do człowieka czynu należy zachowanie niezmaconego umysłu w obliczu przewrotu materii i stwierdzenie: „Zniszczyć mnie, dobrze! Poruszyć – nigdy!”

Skoro tylko odzyskałem swój zwykły spokój, zrozumiałem, czym się różnił obraz, który miałem przed oczami, od tego, który zwykłem kontemplować¹⁷. Skarpa po prostu zniknęła i ogród mój obniżył się do poziomu morza, którego fale, unicestwiwszy dom ogrodnika, uderzały wściekle o najniższe położone ogrodzenie.

Ponieważ było mało prawdopodobne, żeby poziom wody wzrósł, logiczne było, że osunęła się ziemia. Osunięcie to przekraczało sto metrów, bo takiej właśnie wysokości była skarpa. Musiało to nastąpić bardzo łagodnie, gdyż w ogóle tego nie zauważyliśmy, co wyjaśniałoby względny spokój oceanu.

Krótki rzut oka przekonał mnie o słuszności mego przypuszczenia i pozwolił między innymi stwierdzić, że opadanie trwało nadal. W efekcie morze nadal zwyciężało i posuwało się z szybkością około dwóch metrów na sekundę, czyli około siedmiu kilometrów na godzinę. Uwzględniając odległość, jaka nas dzieliła od pierwszych fal, mogliśmy stwierdzić, że zostaniemy pochłonięci w ciągu trzech minut, jeśli prędkość osuwania się nie zmniejszy.

17 *Kontemplować* – przyglądać się czemuś w skupieniu, poznawać; tu: podziwiać.